

Kijana

Kobieta drgnęła i zamruczała coś niewyraźnie. Kijana przekręcił się na bok i spojrzał na nią. Spała. Błada twarz była ledwie widoczna spod rudych włosów, rozrzuconych na poduszce jak cienkie sprężynki. Patrzył przez chwilę, zazdroszcząc łatwości, z jaką zasnęła – jak pies. Dla niego każde położenie się do łóżka oznaczało długą, koszmarnie długą nocną walkę o kilka godzin wyrwanych z jawy. Jej wystarczyło przyłożyć głowę do poduszki.

Sięgnął po paczkę papierosów, leżącą na blacie nocnego stolika, obok fosforyzującego bladą zielenią radia z budzikiem. Druga pięćdziesiąt. Niech to szlag. Okropny, beznadziejny czas, kiedy wszystko jest zawieszona gdzieś między nocą a dniem i zdaje trwać wiecznie. Palił, strzepując popiół w skuloną dłoń. Żeby zagłuszyć lęki, skoncentrował się na obserwacji mrugającego, brudnoczerwonego punkcika żaru w ciemności. Idiotyczne, ale trochę pomagało.

Nigdy nie palił w łóżku, kiedy miał prawdziwe domy. Dopiero setki kolejnych nocy spędzonych w wynajętych mieszkaniach i pokojach hotelowych zmieniły jego przyzwyczajenia.

Wstał ostrożnie, żeby nie obudzić kobiety i nie rozsypać popiołu na pościel. Poszedł po cichu do łazienki, uważnie stawiając stopy w ciemności; zamknął za sobą drzwi i dopiero wtedy włączył światło. Jarzeniówka pod sufitem brzęknęła cicho kilka razy, zalewając małe pomieszczenie niebieskawym blaskiem. Mrugając raz za razem, przyzwyczaiał oczy do światła. Zaciągnął się ostatni raz, wyrzucił popiół z dłoni do muszli i pstryknięciem posłał w ślad za nim niedopałek.

Nie powinien zapraszać do siebie tej babki, ale miał nadzieję, że to pomoże mu zasnąć. Cóż, pomylił się.

Otworzył szafkę nad umywalką. Wśród małych opakowań z hotelowymi kosmetykami znalazł fiolkę aspiryny. Połknął na sucho trzy tabletki. Kolejna, już tej nocy, bezsensowna czynność. Zatrzasnął drzwiczki i przez dobrą chwilę przyglądał się swojemu odbiciu, wykrzywiając się na wszystkie strony. Przyzwyczaiał się do tej maski, leżała dobrze jak lateksowa rękawiczka. Szerokie czoło, duży, ale foremny nos nad wąskimi ustami, ciężkie, lekko opadające powieki; spokojna, silna twarz.

Ja i ty, kolego. Ja i ty. Westchnął i odsunął plastikową zasłonkę prysznic. Dno brodzika pokrywały ciemne plamy, jakby ktoś wylał do niego kubek rozpuszczalnej kawy. Pierwsze strumienie wody były lodowato zimne, ale nie przeszkadzało mu to. Drgnął tylko lekko, czekając cierpliwie, aż polecą cieplejsza. Stał bez ruchu, podczas gdy łazienka wypełniała się kłębamii pary, osiadającej rosą na błękitnych kafelkach.

Po pół godzinie wrócił do pokoju, zaróżowiony i w dobrym nastroju; prysznic spłukał z niego całe zmęczenie. Zostawił uchylone drzwi do łazienki i w smudze padającego przez szparę światła zaczął pakować swoje rzeczy do długiej, sportowej torby z paskiem na ramię. Pogwizdywał cicho przez zęby, myślami już daleko w drodze.

Kobieta leżała cicho, nie wiedział, czy śpi, czy może tylko udaje.

Zaciągnął zamek błyskawiczny torby i rozejrzał się jeszcze raz przelotnie po pokoju, czy czegoś nie zapomniał. Zabrał papierosy ze stolika i wyciągnął kurtkę z szafy. Zatrzymał się na chwilę, jakby się nad czymś zastanawiał. W końcu postawił torbę przy drzwiach i usiadł delikatnie na łóżku.

– Hej.

Żadnej reakcji.

- Hej – trącił lekko nagie ramię, wystające spod kołdry.
- Nie śpię – powiedziała, nie otwierając oczu.
- To czemu nic nie mówisz?
- A co mam powiedzieć? To już lepiej ty coś powiedz.

Milczał.

Kobieta otwarła oczy i uniosła się na łokciach. Kołdra zsunęła się z jej dużych, lekko obwisłych piersi.

- Daj mi jeszcze papierosa, zanim pójdziesz.

Wyciągnął prawie pustą paczkę z kieszeni i podsunął jej pod nos. Wzięła jednego i kulając go między palcami, wykruszyła trochę tytoniu prosto na pościel. Wsunęła papierosa między wargi ze śladami startej szminki i spojrzała wyczekująco. Podał jej ogień, pstrykając jednorazową, zieloną zapalniczką.

- Muszę już jechać.

Wydmuchnęła dym i podrapała się po brzuchu.

- Mówiłeś, że dopiero rano.

- Jest już rano.

Popatrzyła na zielone cyferki zegara.

- Środek nocy. Jesteś pieprznięty.

Wzruszył ramionami. Żałował, że ją obudził. Żałował wszystkiego co się między nimi wydarzyło. Kobieta odezwała się, jakby czytając w jego myślach:

- Nie spałam, udawałam tylko. Chciałam wiedzieć, czy się pożegnasz, czy dasz wióra po cichu.
- Muszę już jechać – powtórzył i podniósł się z łóżka.

Odrzuciła kołdrę, wstała i zaczęła się ubierać. Niezdarnie zbierała rzeczy porozrzucane po podłodze.

Podniósł torbę i sięgnął do klamki.

- Możesz zostać i pospać jeszcze. Pokój jest zapłacony do południa.

Nic nie odpowiedziała.

Wyszedł na korytarz, cicho zamykając za sobą drzwi.

Recepcjonista drzemał z głową wspartą na dłoniach. Ukryty za drzwiami dla personelu hotelowego telewizor cicho mrucał i potrzaskiwał. Ostrożnie położył klucz przed nosem mężczyzny i pchnął drzwi hotelu.

Na dużym, asfaltowym parkingu, mokrym od deszczu i pokrytym pożółkłymi liśćmi, stało tylko kilka samochodów. Podeszedł do białego opla, wrzucił torbę na tylne siedzenie i wsiadł, nie zdejmując kurtki. Samochód zapalił od razu. Siedział przez chwilę nieruchomo, czekając, aż ogrzewanie zacznie działać.

W nocy ktoś wetknął za wycieraczkę ulotkę agencji towarzyskiej, wydrukowaną na marnym papierze. Nasiąkła wilgocią twarz modelki rozmyła się w niewyraźną plamę, smużki farby spłynęły na kształtne piersi i brzuch. Włączył spryskiwacz, ale wycieraczki tylko zepchnęły obrazek na krawędź przedniej szyby. Dopiero gdy wjechał na autostradę i przyspieszył, kolorowy strzępek zafurkotał i odleciał w noc, porwany pędem powietrza.

Świt zastał go sto pięćdziesiąt kilometrów dalej, na stacji benzynowej. Z każdej strony otaczały ją pola oziminy. Zaspany chłopak pomylił się przy wydawaniu reszty i speszony dziękował, kiedy Kijana zwrócił mu na to uwagę.

Mężczyzna zostawił samochód przy dystrybutorze i jadł kanapkę z szynką, którą kupił w minibufecie, popijając kawą ze styropianowego kubka. Dzień wstawał szary, napuchnięty i nic nie wskazywało na to, że się wypogodzi. Mimo to wyraźnie się ociepliło, znad pól podnosiły się pasemka mgły. Przeżuł ostatni kęs pozbawionego smaku sandwicza, i łapczywie pijąc, parzył sobie wargi gorącą lurą. Ruszył w stronę samochodu, kiedy usłyszał krakanie i łopot skrzydeł.

Kilka wron, nastroszonych i lśniących kropelkami mgły, która osiadała im na piórach, ucztowało na poboczu, pastwiąc się nad jakimś trudnym do rozpoznania ochłapem. Przepychały się i darty, szeroko rozdzielając różowe gardziele. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, rzucił w nie pełnym fusów kubkiem. Ptaki rozperzchły się na wszystkie strony, wściekle, kracząc jeszcze głośniejsze, ale nie odleciały daleko, siadając na drzewach i drutach telefonicznych. Kiedy podchodził, gapiły się nienawistnie paciorkowatymi, żółtymi oczami. Stanął nad truchelkiem kota, rozplaszczonym i sponiewieranym. Dwie zakrzepłe smużki, ciągnące się z pustych oczodołów po obu stronach rozchylonego pyszczka, odcinały się od brudnobiałej sierści niczym karykaturalny makijaż płaczki. Musiał tu leżeć już jakiś czas, bo widać było, że ptaki nie próżnowały. Kijana wykrzywił twarz w gorzkim uśmiechu i pogroził wronom zaciśniętą pięścią. Odwrócił się i zapalił papierosa. Idąc szybko w stronę samochodu, słyszał za swoimi plecami łopot skrzydeł, kiedy ptaki wracały do przerwanej posiłku.

– Wynoś się – dobiegł go skrzekliwy głos.

Obejrzał się przez ramię. Znow dziobały zapamiętałe padlinę, jakby nic się nie stało, ale jedna z wron, mniejsza od reszty stada, ze zwisającym z dzioba blad różowym strzępkim, odprowadzała go wzrokiem.

– Wynoś się – powtórzyła. Podrzuciła kawałek jelita, cienki jak sznurowadło, i przełknęła z wysiłkiem. – To nie twoje miejsce, przybłądo. Wynoś się i zdechnij.

Kijana schylił się, szukając kamienia, czegokolwiek, czym mógłby w nie cisnąć, ale wrony nie dały się nabrać. Na betonowym podjeździe stacji leżały tylko drobne kamyczki, które wypadły z bieżników opon setek samochodów zatrzymujących się na chwilę i odjeżdżających stąd, byle dalej.

Ptak zakrakał, jakby się śmiał.

– Zdechnij. A wtedy przyjdziemy. Ja i moje siostry. Wyjemy ci oczy spod powiek.

Zadrzał mimo woli, a pozostałe wrony przyłączyły się do pierwszej, żegnając go szyderczymi wrzaskami, które niosły się daleko w ciszy poranka.

Odjechał. Czarne ptaszyska odprowadziły go wzrokiem, po czym wróciły do dziobania padliny.

Skręcił w najbliższy zjazd z autostrady i przy bramce zapłacił drobnymi siwej kobiecie, oderwanej od lektury jakiegoś kolorowego pisma. Przez kilka godzin jechał powoli lokalnymi drogami, ciesząc się zakrętami, lasem, widokiem mijanych ludzi na rowerach. Wyprzedzał traktory, wlokące wyładowane ziemniakami i burakami przyczepy i rozklekotane furgonetki.

Nienawidził autostrad, ich monotonia wnikała przez koła, docierała do kierownicy i przez dłonie rozlewała się tępy ból w ramionach i karku.

Minął kilka miasteczek, przejeżdżał przez ich ryneczki, podobne do siebie jak jego wspomnienia. Skwerek na środku każdego z nich różnił się od innych jedynie centralnym punktem – raz był to klomb z herbem z kwiatów, który teraz zmienił się w bury dywan martwych roślin, innym razem trzymetrowa wieżyczka z zegarem, od której promieniście rozchodziły się linie wyłożone jaśniejszym kamieniem, odcinające się od szarych kocich łbów. W kolejnym z takich miejsc zjadł zapiekankę, siedząc na połamanej ławce przy pomniku mieszkańców rozstrzelanych podczas ostatniej tutejszej wojny. Ruszył dalej, zanim wewnątrz samochodu zdążyło się wyiębić.

Cieszył się każdym przejechanym kilometrem, każdą zmianą za oknem. Łapał lokalne stacje radiowe, wsłuchiwał się w ich amatorskie dzingle, a gdy po kilkunastu kilometrach radio zaczynało trzeszczeć, wciskał tak długo guzik wyszukiwania na panelu, aż znalazł następną. Nie mijał już tylu rozjechanych zwierząt, co na głównych drogach.

Kiedy zaczęło się ściemniać, z zalem wyciągnął ze skrytki atlas drogowy i po chwili, spędzonej na suwaniu palcem wzdłuż wydrukowanej drobną czcionką listy miejscowości ustalił, gdzie jest. Od najbliższej głównej drogi, przy której co kilka kilometrów będą stały reklamy noclegowni, dzieliło go pół godziny jazdy.

Motel, na który wreszcie się zdecydował, reklamowała podkowa, nabita żółtymi żarówkami, tkwiąca wysoko nad okolicznymi polami na betonowym, latarnianym słupie. Niski budynek, pokryty plastikową elewacją, dwoma ramionami obejmował parking dla gości, w środkowej części znajdowała się recepcja i bar. Kijana zaparkował, wziął torbę z tylnego siedzenia i wszedł do środka. Za kontuarem z płyty imitującej orzech siedział na oko pięćdziesięcioletni, wąsaty mężczyzna, trzymając na kolanach roześmianą, niewiele młodszą kobietę, w czarnej sukience i fartuszku kelnerki. Na widok wchodzącego delikatnie, ale stanowczo zepchnął ją, na co zareagowała chichotem, zasłaniając usta dłonią. Mężczyzna wstał i przyglądał marynarce, jednocześnie mrugając porozumiewawczo do Kijany.

– Dobry wieczór. Życzy pan sobie pokój czy tylko coś zjeść?

– Tylko przenocuję. Macie jedyne?

Mężczyzna bezradnie rozłożył ręce i zrobił karykaturalnie smętną minę, a chichocząca brunetka z ciężkim makijażem prychnęła jeszcze głośniejszym, jakby właśnie zobaczyła najzabawniejszą sztuczkę świata.

– Jedyne? Nie będzie panu smutno? – zagruchała.

Wąsacz skrzywił się i wzruszył ramionami, po czym bezceremonialnie chwycił ją za łokieć i wyprowadził za drzwi baru. Dobry nastrój kelnerki prysł i Kijana usłyszała już zza drzwi jej jazgotliwe protesty. Mężczyzna przerwał je kilkoma cichymi słowami, których Kijana nie dosłyszała przez pulsującą w barze muzykę, po czym wrócił, uśmiechając się przepraszająco.

– Musi nam pan wybaczyć, mamy wesele. Właściwie poprawiny, to jej córka wyszła za męża, no i ja, tak po znajomości, udostępniłem lokal, że się tak wyrażę. Świetna pracownica, panie, i w ogóle. – Zagapił się na chwilę na coś za plecami Kijany, lecz zanim ten zdążył się obejrzeć, mężczyzna wrócił do świata żywych. Westchnął i przetarł czerwone od alkoholu i niewyspania oczy.

– Większość już wyjechała, ale jest jeszcze trochę niedobitków. To życzy pan sobie pokój...

– Jedynekę. Z łazienką.

– Niestety nie mamy. – Mężczyzna bez żenady wyciągnął kieliszek, schowany do tej pory pod blatem, i wychylił go jednym haustem, nie krzywiąc się nawet odrobinę. – Ale powiem panu coś – otarł wąsy – dam panu dwójkę. Prysznic, kibelek, wszystko w cenie jedynki. Których, oczywiście, nie mamy. Co pan na to?

– Świetnie. – W barze rozległ się dźwięk tłuczonego szkła, muzyka przycichła na chwilę, po to tylko, żeby załomotać jeszcze głośniejszym, zagłuszającym śmiechy i piski.

Wąsaty z przylepionym uśmiechem nawet nie drgnął.

– No to proszę kluczyk. Pokój szesnastka. Może uda się panu zasnąć, bo to daleko od baru. Lewe skrzydło. Polecamy domowe śniadania.

Kijana wziął klucz do pokoju, przyczepiony do nieproporcjonalnie dużego breloka z wytłoczonym numerem, obłożonym z białej farby. Kiedy szedł korytarzem, wyłożonym brązowym linoleum, drzwi do baru skrzyknęły i tandetna, pulsująca muzyka znowu wylała się z knajpy. Spojrzył przez ramię, ale drzwi już się domykały, za szybą zamajaczyła jakaś sylwetka, niewyraźny cień.

Dopiero kiedy rzucił okiem na recepcję, zrozumiał, że to wąsacz dołączył do bawiących się niedobitków z wesela. Prychnął pod nosem, zły na siebie, przeklinając w duchu łomoczące serce. Nerwy. Tylko nerwy. Wszystko jest dobrze. Na razie wszystko jest dobrze.

Zmęczenie, przez cały dzień tłumione przyjemnością jazdy w nieznaną, zaczynało go dopadać, pomalutką obejmując lepkimi mackami. Skręcił w lewo i mijając jednakowe drzwi po obu stronach korytarza, szukał swojego numeru.

Mosiężna szesnastka widniała na ostatnich drzwiach po lewej stronie, sąsiadujących z zamkniętym na kłódkę wyjściem awaryjnym. Wszedł do pokoju i nie zapalając światła zamknął za sobą drzwi, przekręcając dwukrotnie klucz w zamku. Odetchnął z ulgą i rozejrzał po nowym lokum na tyle, na ile pozwalał mu na to mrok, zapadający za dużym, wychodzącym na parking oknem. Doskonale anonimowe, niemal identyczne z większością jego nocnych kryjówek, różniących się od siebie jedynie marką małego telewizora, tematem obowiązkowego obrazka nad łóżkiem, odcieniem wykładziny. Rzucił torbę na łóżko z czystą pościelą, starannie poskładaną w kostkę, i pstryknął włącznikiem. Telewizor marki JVC, burobeżowa wykładzina, na obrazku Niagara. Zdjęcie pod szkłem było pofałdowane od wilgoci, jakby zapotniało od mgły znad wodospadu.

Usiadł na łóżku i schował twarz w dłoniach. Poprzednia, nieprzespana noc coraz bardziej dawała o sobie znać i przez chwilę Kijana walczył z pokusą, żeby po prostu przewalić się na plecy, nie ściągając nawet butów, naciągnąć na siebie kołdrę, zasnąć i spać tak do rana. Westchnął i pomasażował twarz, odpędzając zmęczenie, wyciągnął z torby ręcznik i poszedł pod prysznic. Po kąpieli padł nagi na łóżko, zasypiając natychmiast, po raz pierwszy od bardzo dawna.

Ocknął się, mając jeszcze w uszach echo cichego dźwięku, który wyrwał go ze snu. Usiadł powoli na łóżku, rozglądając się po pokoju. Zza cienkich zasłon sączył się żółtawy blask lamp oświetlających parking. Drzwi do łazienki były uchylone; nie pamiętał, czy je zamykał. Wstał bezszelestnie i nagi, powoli podszedł do nich, kładąc dłoń na zimnej klamce. Zawahał się, po czym otworzył je szybkim ruchem. Wzdrygnął się na widok niewyraźnego, poskręcane kształtu leżącego na białych kafelkach, zanim zdążył sobie uświadomić, że to tylko ręcznik, który po kąpieli rzucił niedbale na podłogę. Z westchnięciem podniósł go i wtedy poczuł zimno. Błyskawicznie ogarnęło całe pomieszczenie, sącząc się ze wszystkich stron. Z ust zaczęły wydobywać się mu obłoczki pary; na jego oczach kropla zwisająca z kranu nad umywalką zamarzała w obły kryształek, który zabłyszczał delikatnie w niebieskawej poświacie bijącej z lustrzanych drzewiczek szafki. Kijana bezwiednie rozluźnił palce i ręcznik wylądował na podłodze, przymarzając natychmiast do kafelków. Drgający blask, tak dawno nie widziany, przyciągał go jak ćmę. Zrobił kilka niezdarnych, sztywnych kroków i wbrew swojej woli spojrzął w lustro.

Zza zniekształconego szronem odbicia jego własnej twarzy wolno wypełzła inna, obca, a jednocześnie znajoma. Przesłaniając i rozpychając rysy, materializowała się, odgradzona od jego świata tylko cienką taflą szkła. Oczy zmieniły kolor, jakby zakroplone farbą; rozjechały się na boki i ku górze, ciągnąc żółtymi smugami do skroni, które zapadając się, nadały czaszce wydłużony kształt klepsydry.

Istota w lustrze rozwarła nie do końca jeszcze uformowane usta. Widział wyraźnie nitki materii, jak szwy wiążące jej sine, pozbawione skóry wargi. Młasnęła kilka razy i wreszcie udało jej się rozewrzeć szeroko usta w upiornym ziewnięciu. Po chwili dwa szeregi równych, dużych jak kostki białej czekolady zębów zatrzasnęły się z trzaskiem.

Jej oddech pokrył parą drugą stronę lustra, kiedy szepnęła:

– Wracaj, Kee-an-Nah. Wróć do domu.

Mężczyzna oparł się pięściami o brzeg umywalki. Lodowata porcelana parzyła mu skórę. Bał się i czuł, jak jego strach odrywa się tłustymi kroplami od czoła, spadając w otchłań lustra.

– Nie... mogę... – głos załamał mu się i uwiązł w gardle.

Istota po drugiej stronie lustra przekrzywiła karykaturalną głowę z zaciekawieniem, nie spuszczać oczu z jego wykrzywionej twarzy, i odezwała się najśłodszy z swoich głosów:

– Wróć Kee-an-Nah. Tęsknimy. Rodzina i Dom. Tęsknimy. Czekamy wieczorem, rozpaczamy o świecie, kiedy ciebie nie ma. Wracaj do domu.

Kijana przycisnął prawą pięść do oka, pragnąc, aby ból, który zaczął pulsować w czaszce, zniknął, odszedł razem z potworem.

– Tu jest mój... dom. Teraz. Odejdź.

Kształt za lustrem zafalował, stracił na moment ostrość, cofnął się, po czym zmaterializował się znowu, ukazując muskularny tors istoty. W lewej dłoni trzymała guzłowatą bryłę, której szkarłatny blask wyciekał pomiędzy zaciśniętych, szponiastych palców. Lustro trzasnęło i w dolnym rogu pokryło się pajęczyną pęknięć. Mężczyzna przed nim drżał, konwulsje wstrząsały jego dużym ciałem.

– Twój dom jest tam, gdzie twoje serce. A ja mam twoje serce. Na razie tylko ja. Chyba nie chcesz, żebym się nim podzielił z innymi, wędrowniczku? – Potwór wysunął długi, żółty język i strzelił nim jak biczem, zlizując odrobinę blasku, jak polewę z rożka lodów. – Wracaj do domu, a nie wezmę sobie ani kęsa, obiecuję. Wracaj, renegacie.

Siateczka drobnych jak włosy pęknięć trzeszcząc pokrywała całe lustro, załamując obraz w dziesiątki kalejdoskopowych odbić, jakby z drugiej strony napierało na nie potworne ciśnienie. Kijana poczuł ciepłą strużkę krwi, która wypłynęła mu z lewego nozdrza i pacnęła do umywalki czerwoną gwiazdką.

Zaszlochał.

– Mam swoje... serce. Żyję. Nic... Nic nie możesz mi zrobić.

Istota bez słowa złożyła razem dłonie. Blask sączył się spomiędzy nich przez chwilę, blednąc. Nagle rozłożyła je w finalnym geście magika, kończącego sztuczkę. Kilka płatków popiołu zawirowało w powietrzu.

– Jak długo będziesz uciekał, złodzieju ciał? – zapytał spokojnie potwór, uśmiechając się. – Znowu cię znalazłem. Wrony też cię widziały. To nie twój świat. Wracaj, zanim obedrze ci kolejne przebranie do kości. Jego wiatr porywa twoje łachmany coraz szybciej. Nie masz tam czego szukać. To nie te czasy, nie możesz już chować się w wierzbach przy drodze.

– Chcę... zostać...

Monstrum po drugiej stronie lustra odrzuciło do tyłu podłużny łeb i ryknęło śmiechem. Zapraszająco wyciągnęło rękę w stronę mężczyzny.

– Nie możesz, maluchu. Wróc sam, a może uda mi się cię ocalić. Podaj mi dłoń i niech się to wreszcie skończy. Nie możesz wiecznie uciekać.

Przewyciężając ogarniające go odrętwienie, Kijana podniósł rękę wazącą chyba tonę; końce palców drżały kilka centymetrów od lodowatej tafli. Potwór skinął zapraszająco głową, a wtedy Kijana zacisnął palce w pięść i uderzył w popękane lustro. W dziesiątki potwornych twarzy, które uśmiechając się szyderczo, nawet nie próbowały unikać ciosu.

Obudził się obolały i z zaskoczeniem stwierdził, że dochodzi ósma rano. Nie pamiętał już, kiedy ostatnio spał tak długo. Leżał przez chwilę bez ruchu i usiłował sobie przypomnieć, gdzie jest. Podkova na słupie. Poprawiny w motelu. Łazienka...

Wstał szybko i syknął z bólu. Strup na wierzchu dłoni przywarł do prześcieradła, a teraz, kiedy go zerwał, z drobnych skaleczeń na kłykciach znowu zaczęła się sączyć krew. Zlizął ją i pchnął drzwi do łazienki, w której ciągle paliło się światło. Odłamki rozbitego lustra błyszczały na podłodze i w umywalce. Szafka przekrzywiła się od ciosu i zwisła teraz koślawo, trzymając się na jednym haczyku. Wyciągnął z torby paczkę plastrów, opatrzył jako tako rękę, ubrał się i spróbował doprowadzić pokój do porządku. Pozgarniał szkło jakimś grubym magazynem dla kobiet, który znalazł pod telewizorem. Wahał się, czy nie wyrzucić też prześcieradła, ale w końcu dał sobie spokój. Gorsze rzeczy znajdują w motelach. Wziął torbę i z przyzwyczajenia rozejrzał się, czy niczego nie zostawił. Nie cierpiał gubić rzeczy, żal mu było nawet nie nie wartych drobiazków, na które inni dawno machnęliby ręką. Może dlatego, że były wszystkim, co miał.

Chciał jeszcze raz zobaczyć morze. Pamiętał, że jest piękne późną jesienią,

kiedy wiatr z północy pachnie już śniegiem. Droga na północ była pełna ciężarówek, masywnych potworów ciągnących jednostajnie całymi konwojami. Nie przeszkadzało mu to, bawiło go nawet wyprzedzanie na trzeciego, czwartego, wciskanie się między ich wielkie cielska, kiedy wściekle trąbiły basem. Znalazł jakąś stację radiową, nadającą tylko muzykę rockową z lat osiemdziesiątych, i bębnił palcami o kierownicę w rytm perkusji. Ryzykując wypadek, rozjechał wronę skaczącą po poboczu i uśmiechnął się złośliwie, słysząc głucho uderzenie w podwozie. Chmury wisiały nisko, raz po raz padał drobny deszcz, ale nie chciało się rozpadać na dobre. Starał się nie myśleć o ostatniej nocy. Co z tego, że go znaleźli. To nie pierwszy raz, a do tej pory jakoś mu się udawało wymknąć. Z reguły nowe przebranie na jakiś czas załatwiało sprawę. W jednym przemieszkął prawie pięć lat – i było to pięć naprawdę dobrych lat.

Gdzieś w pamięci mgliście zamajaczyły mu wspomnienia domu z dębem przy betonowym podjeździe do garażu; kobiety, brunetki, która śmiejąc się, zamykała oczy; i dwójki dzieci... tak, dwójki – dwóch chłopców. Pamiętał, że młodszego nauczył robić latawce.

Wspomnienia szybko wracały, w ślad za nimi napływały kolejne, jedno lepsze, drugie gorsze, ale wszystkie paliły jak ogień. Inne domy, inne miejsca, samotności i wspólne życia, korowód pełen porażek i sukcesów, miłości, którą go darzono, i nienawiści, jaką czasem wzbudzał. Wreszcie obojętność, która często mu towarzyszyła, i strach, który czuł zawsze. Nie chciał pamiętać, ale rany przeszłości były bolesne i nie goiły się łatwo. Nie można wejść w cudze życie i nie odcisnąć na nim piętna – dobrze o tym wiedział. Zaskoczyło go jedynie, jak wiele istnień, z pozoru ulotnych i krótkotrwałych, odcisnęło piętno na nim samym.

Trąbienie i błysk długich świateł przywróciły go do rzeczywistości. W ostatniej chwili przytulił się do boku wyprzedzanej ciężarówki i jadący z naprzeciwka samochód wyminął go niemal na długość lusterek. Kątem oka widział przez ułamek sekundy rozwarte we wściekłym wrzasku usta i wyciągniętą w jego stronę pięść. Wcisnął się między dwa tiry i spokojnie przejechał następne osiemdziesiąt kilometrów, słuchając starego rocka i nie myśląc o niczym.

Bar należał do tych, w których okazjonalnie popijają przejezdni, odsypiając później w jednym z pokoiów na piętrze, stale zaś ci miejscowi, którzy nie piją przed sklepem. Nie nocuje się w takich miejscach, jadąc z dziećmiakami i żoną, tym bardziej że miejscowości wypoczynkowe ciągną się łańcuchem kilka kilometrów dalej. Jest bezpiecznie, okazjonalne bójkę rozgrywają się przed barem i trwają tylko do momentu, kiedy jeden z awanturników upadnie i nie ma chęci dalej się tłuc. Nikt cię tu nie zabije, ale też nie poda ręki, by pomóc wstać. Odstrasza głównie pseudożarcie odgrzewane w mikrofalówce i pokryte fryturą plastikowe ściany, na których królują przypięte pinezkami plakaty reklamowe Pepsi.

Kijana wszedł i zamówił piwo. Barman podstawił pod kranik wysoką szklanekę, nie kłopotząc się o nadmiar piany i nie przerywając rozmowy z niskim blondynem, ubranym w skórzaną kurtkę z łątek i dekatyzowane dzinsy. Rozmowa dotyczyła zeszłorocznej zabawy sylwestrowej i tego, kto jak się bawił. Zanim Kijana zdążył zaprotestować, barman zdjął łyżką do zupy fałszywy kołnierz piany i dołał piwa, teraz już starannie. Kiedy przeliczał drobne, blondyn wyjął z kieszeni kurtki papierosy i poczęstował najpierw Kijaną, lecz ten odmówił, a potem barmana, który jedną ręką sięgnął do paczki, drugą wrzucając monety do szuflady, wyskakującej spod kasy z cichym dźwiękiem dzwonka.

Kijana pił zimne piwo i rozglądał się po knajpie. Kilku kierowców grało w bilard poobtlukiwanymi kijami, co rusz rysując, na dawniej zielonym, płótnie stołu niebieskie, kredowe linie nieudanych uderzeń. Śmiali się głośno i poklepywali po plecach przy każdym faulu. Dziewczyna w czarnej spódnicy, przetykanej srebrną nitką, i puchatym, fioletowym pulowerze, włożonym na gołe ciało, nudziła monotonnym głosem nad uchem mężczyzny, który nie chciał iść do domu. Zbywał ją machnięciem ręki, jak natrętnie bzyczącą muchę, i dalej coś klarował wpatrzonemu szklanym wzrokiem w jego usta towarzyszowi, który najwyraźniej miał dość, i to od co najmniej godziny. Ludzie. Ludzie nigdy nie przestaną go fascynować. Lubił ich.

Dopił piwo i poprosił o następne. Kiedy barman podawał mu pełną szklanekę, krzywiąc twarz od dymu wiskającego mu się do oczu z trzymanego w kąciku ust peta, zapytał:

– Czy mogę wynająć gdzieś pokój? Wie pan... – mrugnął nieudolnie – nie rzucając się w oczy?

Barman przyglądał mu się przez chwilę.

– Aaa, pan pewnie do sanatorium, na kurację? Tak na lewo?

Kijana nie zrozumiał.

– Po prostu, na wypoczynek. Cisza i spokój, wie pan.

Chłopak uśmiechnął się wyrozumiale. Taa, jasne.

I podał mu adres. Może myślał, że będzie dowcipny, wysyłając go do „Bryzy”, a może chciał szczerze doradzić. Nie wiadomo. Ale stało się.

Ostatnie rzędky popękanych płytek podjazdu, stykającego się z asfaltową jezdnią ktoś niezbyt fachowo zalał betonem. Mieszonym chyba w taczce, na szybko, bo grube ziarna nie przesianego żwiru już wyłaziły na wierzch. Długo to nie przetrwa. Na sznurku powiewały strzępki kolorowej folii z reklamówek, zagradzającym wjazd. Kijana zjechał na pobocze, wyłączył silnik i zanim wysiadł, przeciągnął się, strzelając kostkami palców. Balansując na krawędzi porośniętego chwastami rowu, ominął świeżą wylewkę. Szutrową drogę za bramą przerastały kępki przemarzniętej o tej porze roku trawy; pojedyncze, kiedy spoglądało się pod nogi, i układające się w zgniłozielony dywan, gdy patrzyło się przed siebie. Wzdłuż drogi ciągnął się niewysoki, pozieleniał krawężnik, za którym kolczastymi zasiekami kłębiły się nagie pędy jeżyn. Stare topole posadzone w kilkumetrowych odstępach zrzucały na aleję kruche badyle. Było cicho i Kijana wdychał słodkawy, ziemny zapach butwiejących liści. Gdzieś dalej, za ogrodem, niewidoczne morze syczało i pryskało solą.

„Bryza” okazała się drewnianym, dwupiętrowym budynkiem. Kijana nie pamiętał, kiedy ostatnio widział tak duży dom, zbudowany tylko z drewna. Na pierwszy rzut oka nie sprawiała dobrego wrażenia, jakby swoją dawną chwałą potęgowała obecną nędzę. Jedno ze skrzydeł domu wyglądało na zupełnie opuszczone. Dach wyraźnie łamał się w połowie, niektóre okna były pozabijane niewiele ciemniejszymi od ścian deskami. Na ganku siedział może dziesięcioletni chłopiec, patrząc prosto na nadchodzącego mężczyznę. Kijana uśmiechnął się i nie był to wcale wymuszony uśmiech.

– Cześć, mały. Jest mama?

Dzieciak przyglądał mu się uważnie przez chwilę, po czym wrócił do swojego zajęcia. Z jednego wiaderka nabierał garść piasku, na moment zanurzał zaciśniętą pięść w drugim, pełnym wody, i pozwalał, żeby rzadkie błocko wyciekało mu spomiędzy palców, formując coraz wyższą, jakby zbudowaną z brudnawego lukru wieżyczkę, rosnącą na deskach werandy.

– Mały, głuchy jesteś? – zapytał bez gniewu.

Szur, chlup, cisza pełna skupienia.

Kijana podszedł i ukucnął przed chłopcem. Ten na chwilę podniósł na niego oczy, ale zaraz spuścił wzrok.

Kijana pomachał mu ręką przed nosem. Żadnej reakcji, strużka błota nie drgnęła nawet o milimetr, wyciekając z małej pięści, i dalej rzeźbiła swoje piaskowe koronki na rosnącym stożku.

– Co pan wyprawia!?

Przestraszony poderwał się i spojrzał na stojącą w drzwiach kobietę. Wyglądała na jakieś trzydzieści lat. Była wysoka, ciemne włosy, ściągnięte w koński ogon, wymykały się pasemkami i opadały na ładne czoło. Wydawało się, że jest bardziej przestraszona niż rozgniewana. Mały nawet nie drgnął.

– Nic... Nie chciałem...

Zdał sobie sprawę, że bełkocze jak przyłapany na gorącym uczynku zboczeniec. Zebrał się w sobie i odchrząknął.

– Przepraszam. Ale rozmawiałem tylko z małym i...

– On z nikim nie rozmawia, kim pan jest!?

– Powiedziano mi, że mogę wynająć u pani pokój...

– Kto tak powiedział?

– Facet w barze, taki miły chłopak... Cholera, nie chciałem pani przestraszyć!

Uspokoili się nieco, jakby przekonało ją to niewinne przekleństwo.

– I co, przyszedł pan na piechotę?

– Nie, mój samochód stoi za bramą. Nie chciałem wjeżdżać, bo nie wiedziałem, czy beton już wysechł.

Patrzyła na niego uważnie jeszcze przez chwilę, po czym odprężyła się. Odgarnęła włosy, które wiatr nawiewał jej na twarz.

– Dawno nikt tu nie zaglądał w sprawie pokoju. Nie jestem przygotowana...

– Nic nie szkodzi – przerwał jej w pół słowa – nie zależy mi na wygodach. Wystarczy łóżko i dach nad głową.

Nieufny błysk znów pojawił się na moment w jej oczach.

– Długo chce pan tu zostać?

Kijana wyciągnął papierosy i poczęstował ją. Pokręciła przecząco głową i założyła ręce na piersiach.

– Jeszcze nie wiem. Miesiąc, może półtora. Zalegali mi z urlopem przez pięć lat. Wreszcie mnie zmusili do wczasów. Dam pani dowód osobisty, może go pani spisać, jeśli to panią uspokoi. – Sam zapalił i uśmiechnął się, miał nadzieję, że szczerze.

Milczała jeszcze chwilę, po czym westchnęła, jakby podejmowała jakąś decyzję, zdając sobie jednocześnie sprawę, że będzie jej żałować.

– Dobrze. Trzydzieści złotych za dobę. Trzydzieści pięć, jeśli chce pan obiady. – Jakby przestraszyła się, że chce zbyt dużo, i dodała szybko: – Taniej pan nigdzie w okolicy nie znajdzie. Pokój jest ładny, zaraz tam posprzątam.

– Raczej się zdecyduję. Z obiadami.

Uśmiechnęła się po raz pierwszy.

– Może się pan przejdzie na plażę albo pospaceruje po ogrodzie? To nie potrwa długo, zawołam pana.

– Jasne. Mogę zostawić samochód przed bramą? Nie będzie przeszkadzał?

– Może na razie zostać. Nie mamy swojego, a pan chyba wyczerpał już limit niespodziewanych gości. I niech się pan nie przejmuj Julkiem – kiwnęła głową w stronę chłopca, który ani na chwilę nie przerwał zabawy. – Może pójść za panem, ale raczej nie wychodzi poza ogród. Nie jest agresywny, nie musi się pan obawiać.

Kijana baczniej przyjrzał się chłopcu i dopiero teraz dotarła do niego aura, jaką mały roztaczał wokół siebie. Aura obcości i zubożenia, kosmata i nieprzejrzysta. Aura choroby.

– Dobrze, będę miał go na oku – obiecał.

Widać spodziewała się innej reakcji, nie zwyczajnego przejścia nad faktem do porządku dziennego, bo powiedziała tonem usprawiedliwienia:

– Wie pan, niektórzy nie lubią chorych. Ja sama tak o nim nie myślę. Jest po prostu... inny. Ale ludzie nieraz czują się przy nim nieswojo...

– Mnie to nie przeszkadza. Może mi pani wierzyć.

Kobieta wyglądała na zadowoloną, kiwnęła głową, przyjmując do wiadomości to, co powiedział, i poszła bez słowa w stronę uchylonych drzwi. W progu odwróciła się jeszcze, znowu nieśmiało się uśmiechając.

– Gapa ze mnie, ale tak mnie pan zaskoczył, że zapomniałam się przedstawić. Beata Domińczak. Julka już pan zna.

Kijana zawahał się na ułamek sekundy, usiłując przypomnieć sobie nazwisko widniejące w dowodzie osobistym, tkwiącym w jednej z przegródek jego własnego portfela.

– Bondera – odwzajemnił uśmiech – Robert Bondera.

Włożył ręce do kieszeni kurtki i ruszył wolno na spacer po ogrodzie.

Kobieta stała przy kuchennym zlewie, nalewając do wiaderka wodę i płyn do mycia podłóg. Patrzyła na znikającą między drzewami sylwetkę mężczyzny. Nie wiedziała, czy postąpiła rozsądnie, wynajmując mu pokój, i to właśnie ją gnębiło. Bo Beata Domińczak była kobietą rozsądną. Dzięki temu udało jej się utrzymać dom po śmierci męża i ogólnie dawać sobie radę w życiu, prowadząc przez nie i Julka. Usiłowała usprawiedliwiać się przed sobą, że pieniądze się przydadzą, i to bardzo, ale było to marne tłumaczenie. Zakręciła wodę i odstawiła wiadro na podłogę. Zrobiłaś to, bo po prostu ci się spodobał. Miej odwagę to przyznać. W zasadzie, po swoich dotychczasowych doświadczeniach, powinna mieć dość do końca życia dużych, krótko ostrzyżonych mężczyzn, ale jak widać, rozsądek wziął sobie na dzisiaj wolne. Kiedy wypadła na werandę, widząc go kucającego przed Julkiem, zobaczyła na jego twarzy przestraszony, zupełnie nie pasujący do tej fizjonomii. Wyglądał jak chłopiec przyłapano na gorącym uczynku, dopiero później, kiedy już normalnie rozmawiali, przedzierzgnął się w pewnego siebie mężczyznę. Ale Beata była przekonana, że właśnie ta chwila, kiedy widziała jego zaskoczenie i strach, zaważyła na jej decyzji.

Kijana szedł powoli ubitą alejką, poprzeraстанą tu i ówdzie kępami trawy, i wdychał pełną piersią zimne, przesycone solą powietrze. Ogród był duży, stary i zaniedbany, co tylko dodawało mu uroku. Drzewa były co prawda powykręcane przez wiatr, ale duże i zdrowe. Znalazł drewnianą szopę, tonącą w bezlistnych chaszczach. Stojący obok, pozieleniał, betonowy zbiornik na wodę, był wypełniony po brzegi. Wody nie było widać spod gęstego kożucha rzęsy, po którym przemykały małe owady. Kijana przysiadł na cembrowinie i przymknął oczy. Gdzieś niedaleko, za płotem i szpalerem sosen jednostajnie szumiało morze i krzyczały mowy. W jeżynach coś zaszeleściło, fuknęło i schowało się pod kołdrę opadłych liści. Usłyszał wiatr nadchodzący w koronach drzew, jeszcze zanim lekki podmuch uderzył go w twarz i sunął dalej, zostawiając po sobie ciszę. Po raz pierwszy od naprawdę długiego czasu poczuł się dobrze. Nawet gdyby pokój okazał się norą, to zawsze będzie mógł przyjść tutaj, i to w zupełności wystarczy. Kobieta, Beata, podobiała mu się. Przypominała mu kogoś, ale nawet nie starał się przypomnieć sobie tamtej twarzy. Dlaczego od tak dawna nie mieszkał w takich miejscach? Przecież to nie jedyny taki dom z pokojem do wynajęcia, dlaczego tłukł się przez ostatnie lata po motelikach, hotelach, noclegowniach wybitych na jednej sztancy razem z obsługą, i dopiero teraz zdecydował się zamieszkać właśnie tak? W pięknym, spokojnym miejscu. I zaraz przyszła odpowiedź, szybka i bezlitosna: ponieważ wiesz, że pościg dobiega końca, a ty nie masz już siły uciekać. I wolisz, żeby wszystko skończyło się w miejscu takim jak to, a nie w kolejnej anonimowej sypialni. Telewizor, wykładzina, obrazek i przetarte od wybielacza prześcieradła.

Otworzył oczy i zobaczył chłopca. Szedł wolno w jego stronę, patrząc uważnie pod nogi, jakby czegoś szukał. Kijana miał wrażenie, że mały stawiał przesadnie długie kroki, jakby bawiąc się w nadeptywanie na niewidoczne ślady, które mężczyzna zostawił, idąc na spacer. Nucił pod nosem jakąś monotonną, płaską melodię, która mogła być zarówno jego własną, jak i jednym z najnowszych, wciskających się w uszy, plastikowych hitów.

– I co powiesz, mały?

Julek przestał nucić, jakby dopiero teraz zauważył Kijaną. Stał nieruchomo, niby patrząc na mężczyznę, podczas gdy ten miał wrażenie, że wzrok dzieciaka bez trudu przebija go na wylot i skupia się na czymś zupełnie innym, czymś, czego nawet on sam nie byłby w stanie dostrzec.

Mimo woli obejrzał się, ale zobaczył tylko łyse pnąca, wspinające się na płot z przerdzewiałej siatki.

– Taa... wiem. Ty też to czujesz. Przykro mi.

Naprawdę było mu przykro.

– Ale tobie i mamie nic się nie stanie, nie martw się.

Chłopiec stał jak wmurowany i beznamiętnie patrzył przed siebie, jak zabawka, w której wyczerpały się baterie. Kijana wstał i poszedł za szopkę, gdzie wysikał się prosto na zapomnianą pryzmę starego kompostu. Kiedy wracał, usłyszał dobiegające od strony domu wołanie kobiety. Podeszedł do dziecka i bez wysiłku obrócił je w miejscu, lekko popychając, by zrobiło pierwszy krok w stronę domu.

Szedł pomału, równo z chłopcem, od czasu do czasu mówiąc jakieś banały spokojnym, cichym głosem, tylko po to, żeby zatrzeć cień tego uczucia, jakie go ogarnęło, kiedy pomyślał, że znowu chciałby tak żyć. Samolubnie cieszył się przez chwilę tą myślą, zwodząc samego siebie. Bo tak naprawdę wiedział, że nigdy już nie pozwoli, żeby przyszli za nim do kolejnego domu.

Pokój może i był odnajmowany turystom, ale nie zatracił domowego charakteru. Po jednej stronie łóżka skos dachu niemal dotykał podłogi, z drugiej dociskała się do niego niska szafka ze stojącą na niej nocną lampką z malowanym ręcznie abażurem. Na kremowym, pomarszczonym papierze tłoczyły się niezgrabne, niczym namalowane przez dziecko, kwiaty. Kijana zastanawiał się, czy będą rzucać kolorowe cienie na ściany. Z przyzwyczajenia sprawdził wszystkie szuflady, te w szafce i w komodzie stojącej przy drzwiach. Były wyścielone szarym papierem pakowym i zupełnie puste. Nieraz znajdował w wynajmowanych pokojach rzeczy, które przeoczyła obsługa albo których nikomu nie chciało się sprzątnąć. Czasami była to wyświechtana książka, zostawiona przez kogoś i zaczytywana na śmierć przez kolejnych tymczasowych lokatorów, innym razem resztkę mydła w płynie na półce pod prysznicem. Raz, schylając się po szczoteczkę do zębów, która upadła na podłogę, znalazł zużytą prezerwatywę, przyklejoną pod umywalką. Wierszyki albo krótkie zdania, wypisywane maczkiem na tapecie pod sufitem bądź tuż przy podłodze. Wycięte nożem karby na futrynie drzwi albo krawędzi stołu, tłuste odciski palców na kineskopie telewizora albo ust na krawędzi jednej z dwóch obowiązkowych szklanek, pokutujących pod łazienkowym lustrem. Wszystkie te znaki, które zostawiają za sobą, nieświadomie lub z premedytacją, ludzie skazani na tymczasowy dach nad głową, pod który nigdy nie wrócą. Tutaj ich nie było. Mógł tu wejść i nie musiał wyganiać duchów. Mógłby tu zostać.

Wieczorem, kładąc się spać, włączył lampkę. Rozświetliła pokój mdłym, żółtawym blaskiem czterdziestowatowej żarówki, ale żadne cienie nie zatańczyły na ścianach. Kwiaty zbladły i zmieniły się w bure plamy na abażurze. Nie zgasił jej i zasnął w ciepłym blasku. Śniły mu się mewy, przybite skrzydłami do granatowego nieba, zwisającego ciężko nad granatowym morzem.

Beata wykapała Julka, pomogła mu się przebrać i położyła do łóżka. Siedziała teraz przy nocnej herbacie i ostatnim papierosie, zmieniającym się wolno w słupek popiołu w popielniczce. Myśl o mężczyźnie, śpiącym w pokoju na piętze, nie dawała jej spokoju. Odwykła od czyjejś obecności w domu; każde skrzyknięcie podłogi, kiedy się kąpał, kiedy kręcił się po pokoju, szykując się do snu, wydawało jej się czymś tak obcym, że aż wzdrzygała się nerwowo. Jarek nie żył od pięciu lat. Od tego czasu nawet nie starała

się wynając pokoju, a po upiornych dwóch tygodniach, jakie zafundowało jej małżeństwo lekarzy, którzy zjechali tu z dwójką potwornie rozwydrzonych i wrednych bachorów, odprawiała ludzi z kwitkiem. Aż do dzisiaj.

Pięcioletni celibat czasami dawał o sobie znać, lecz Beata nauczyła się sobie z tym radzić. Wystarczyło, że przypomniła sobie, w co zmieniło się jej małżeństwo, szczególnie w ostatnich latach, i odchodziła ją ochota na amory. Śmierć Jarka nadeszła w ostatniej chwili i jeśli o czymś wtedy myślała, kiedy zdrętwiała dłońią odłożyła słuchawkę, to tylko o tym, że los oszczędził jej własnoręcznego zabicia męża.

Wydało jej się, że w pokoju na górze zatrzeszczała podłoga, jakby ON wstał. Myśli pogalopowały dalej, napędzane wyobraźnią. To jakiś morderca albo zboczeniec, przecież widać to po tej zakazanej gębie! A ona, idiotka, wpuściła go do domu, w którym udało jej się zamknąć siebie i Julka przed wszystkimi niebezpieczeństwami świata na długich pięć lat. Wpuściła potwora, który właśnie się obudził, głodny i zły... Czy to kroki? Zerwała się i przerażona nie była w stanie zrobić nawet kroku, drżąc w wełnianym swetrze, narzuconym na nocną koszulę. Ale wtedy wróciła rozsądna, spokojna Beata, ta, którą była od pięciu lat. Podłogi trzeszczą; cały dom przecież skrzypi, zwłaszcza kiedy wieje od morza. Drewno nasiąka wilgocią i niemal czuć bosymi stopami, jak cały dom usiłuje się przeciągnąć. A ten mężczyzna to nie żaden morderca ani uciekinier, ma zresztą jego dowód, który zapomniała mu oddać (dowód, wielkie mi co, każdy może sobie teraz sprawić nowe papiery – po raz ostatni zadźwięczał cichnący głos, który wcześniej wrzasnął jej do ucha i poderwał na nogi), a w ogóle to teraz śpi. I wszystko będzie dobrze. Pospaceruje po plaży, poogląda telewizję, zresztą niech robi, co chce, byle nie zwracał jej głowy, zapłaci drugą część należności i wyniesie się od nich w diabły. Zniknie, jakby go nigdy nie było.

Zdusiła niedopalek i splekała go w przedpotopowym zlewie, po czym cicho, na palcach, poszła na piętro do swojej sypialni. Mijając po cichutku jego pokój, zauważyła smugę światła pod drzwiami. W środku było zupełnie cicho, żadnego pochrapywania czy szelestu kartek. Telewizor też milczał. Weszła do siebie i przeklinając w duchu ciche chrobotanie klucza w zamku, zamknęła za sobą drzwi. Wślizgnęła się po ciemku w wyiębioną pościel. Leżała jeszcze długo, nieruchomo, nie mogąc zasnąć, jakby podświadomie czekając na nowy powód do strachu. Ale ponieważ nic się nie wydarzyło, zasnęła w końcu i spała głęboko, bez snów.

Rano Beata, zła na siebie za to wczorajsze nocne panikowanie, już bez żadnych ceregieli, manifestowała pewność siebie pani we własnym domu. Tupiąc głośniejsz niż zazwyczaj, poszła do łazienki i odkręciła wodę w prysznicu wiszącym nad żeliwną wanną. W ostatniej chwili powstrzymała się od nucenia, kiedy gorąca woda splukiwała szampon z jej włosów. Za to cicho pogwizdywała, owinięta w ręcznik, gójąc nogi. Ubrana w spodnie i rozwleczony sweter po mężu, poszła do kuchni, gdzie trzaskała drzwiczkami szafek, szufladami i głośno rozstawiała talerze, szykując śniadanie. Z góry nie dobiegał żaden dźwięk. Sama nie wiedziała dlaczego, poirytowana, poszła z powrotem na górę, do pokoju Julka. Mijając sypialnię dla gości, odkaszlnęła ostentacyjnie. A co, ten się jeszcze naodpoczywa, a mały przynajmniej zje ciepłą jajecznicę. Nie będzie robiła dwóch śniadań dziennie. Otworzyła pomalowane na żółto drzwi na końcu korytarza i żartobliwa poranna reprimenda zamarała jej na ustach. Pokój był pusty. Rozkopana jak zawsze pościel na małym tapczaniku, porozwalane na podłodze rysunki do skończenia na jutro, modele wiszące na żyłkach u sufitu chwiała się lekko. Beata zamknęła cicho żółte drzwi i jak we śnie weszła do pokoju gościa. Pościel była złożona w kostkę, w nogach łóżka stała czarna, sportowa torba, z której wystawały starannie poukładane podkoszulki. Ręcznik suszył się na kaloryferze. Nie było go.

Pędem, gubiąc jeden z kapci, zbiegła ze schodów i wypadła do ogrodu. Było zimno i wilgotno, uschnięte astry, które już dawno powinna wykopać, srebrzyły się kropelkami mgły.

– Julek!!! Juliusz!!!

Nigdy nie odpowiadał, ale zawsze przychodził, kiedy go wołała. Przyciskając rękę do ust, wstrzymywała wzbierający w piersiach skowyt; więc jednak to potwór. Potwór ich znalazł. Pobieгла przed siebie ścieżką, w stronę szopy, utykając, zanim wierzgnięciem nogi zrzuciła drugi kapeć, i pognęła z całych sił. Liście były lodowato zimne i śliskie, kilka razy prawie upadła, drobne gałązki strącone wiatrem kłuły ją w stopy. Zahaczyła ręką o jakiś wysunięty nad ścieżkę pęd jeżyna i rozdarła ją kolcem do krwi.

Szopa zamajaczyła między drzewami. Beata dopadła bez tchu cembrowiny zbiornika na wodę, oparła się o nią, dysząc bardziej ze strachu niż ze zmęczenia. Potrafiła nogą plastikowe wiaderko, pełne wody z rzęsą, która chlapanęła jej na nogawkę i bosą stopę.

– Julek!!! – Skowyt wyrwał się wreszcie na wolność.

Pewność, że stało się coś strasznego, była paraliżująca. Boże, Boże, Boże...

Gdzie go szukać? Gdzie pójść? Wrócić i dzwonić na policję? Przecież może on gdzieś umiera! Gdzieś blisko! Moje dziecko... Co robić, krzycheć „ratunku”!? Przecież nikt nie usłyszy... Bezsilna, czarna rozpacz obezwładniła ją.

Wyjrzał zza szopy, zaciekawiony. Mała główka jej syna, z odstającymi uszami i wyrazem wiecznego skupienia na twarzy. Kolana się pod nią ugięły i osunęła się na ziemię, opierając brodę o ciągle zaciśnięte na zielonkawym betonie dłonie. Zamknęła oczy i płakała, dopóki nie poczuła jego rączki, jak zawsze ostrożnej, gładzącej i lekko szarpiącej jej włosy.

Trzasnęła furka, Beata usłyszała ciężki tupot stóp na wilgotnej ziemi i szybki, sapiący oddech. Kijana stanął jak wryty, widząc ją klęczącą i małego, z ręką na jej głowie. Był mokry, tylko w kąpielówkach – trochę przyciasnych i rozpaczliwie niemodnych, wpijających gumkę w obrośnięty brzuch. I jeśli miało ją coś przekonać o jego niewinności, to właśnie to, że facet w takich gaciach przyleciał, kiedy tylko usłyszał, jak krzyczy.

– Co się stało?

Beata wstała i wytarła oczy wierzchem dłoni.

– Nic, nic... Przestraszyłam się, że Julek gdzieś się zapodział. – Kłamstwo gładko przeszło jej przez gardło. Przytuliła syna i pogłaskała go po rozwichrzonych włosach.

Mężczyzna wyraźnie odetchnął z ulgą i teraz wyglądał tylko na zakłopotanego.

– Zostawiłem ubranie i ręcznik na plaży... Pójdę... – Machnął ręką za siebie.

– Kąpie się pan w taki ziąb?

Uśmiechnął się nieśmiało.

– Mnie to nie przeszkadza. Nawet lubię. Potem zaraz jest człowiekowi ciepło. – Odwrócił się i ruszył w stronę płotu.

Julek wymknął się spod jej ręki jak kot, kiedy znudzi mu się głaskanie, i stanął obok, odprowadzając Kijaną wzrokiem.

– Niech się pan pospieszy. Śniadanie czeka – powiedziała cicho, ale nie była pewna, czy usłyszał.

Szedł szybko, teraz dopiero poczuł zimne podmuchy. Włoski na jego ciele podniosły się i zaczął szczerkać zębami. Serce waliło mu jak młotem – kiedy usłyszał niesiony wiatrem krzyk kobiety, zatrzymało się na moment, teraz dochodził do siebie. Myślał, że to już, że przeliczył się i ściągnął na nich swoich tropicieli. Kiedy biegł do ogrodu, przeklinał i tłumaczył się sam przed sobą, że przecież jeszcze za wcześnie, że nie było żadnych znaków. Odsunąłby się wtedy od nich, pozwolił, żeby się stało. Bez ofiar z niewinnych. Bał się o kobietę i chłopca, a jednocześnie czuł żal, że tak wcześnie go znaleźli, że nie zdążył się jeszcze nacieszyć tym domem, plażą i ostatnimi chwilami przed... tym.

Rozmawiał z chłopcem na plaży; zanim mały odszedł, ponownie spowity w brudnożółte chmury swojej choroby, które rozstały się na chwilę pod wpływem jakiegoś impulsu... Wcale nie jakiegoś. Dzięki Kee-an-Nah, to było pewne, a raczej dzięki jego... pochodzeniu. To jego obecność dała chłopcu szansę, by mógł wreszcie odezwać się do kogoś.

Mężczyzna stał właśnie po kostki w lodowatej wodzie, oddychając głęboko przed wejściem głębiej w parzące skórę morze, kiedy go usłyszał. Ciche słowa na granicy słyszalności, niepewne i gardłowe, wypowiedziane być może pierwszy raz w życiu.

„Jest zimno”.

Kijana, zaskoczony, obejrzał się za siebie. Chłopiec siedział, obejmując chudymi rękami kolana, i patrzył mu prosto w oczy. W jego spojrzeniu malowała się niepewność.

Nie dał po sobie poznać zaskoczenia.

„Wiem”.

„To czemu wchodzisz do wody?”

Odpowiedział szczerze:

„Bo kiedy pływam w morzu, czuję się bezpieczny. I wolny”.

Julek nabrał pełną garść piasku i pozwolił mu przesypywać się między palcami.

„Lubię cię. Jesteś inny. Ja też jestem inny, wiesz?”

„Wiem. Twoja mama mi powiedziała”.

„Kiedy mówiłeś, że nic nam się nie stanie, nie kłamałeś”. To nie było pytanie, ale i tak odpowiedział:

„Tak”.

Piasek wysypał się z dłoni chłopca. Otarł rękę o nogawkę spodni.

„Czasami ich widzę, kiedy śpię. Tych, którzy idą za tobą. Kozła, ropuchę, wielu innych. No i wrony. I Jego. Ale oni nigdy mnie nie zobaczyli. Jestem za sprytny”.

Dziecięcy chichot.

„Chciałbym, żebyś został. Mama też by chciała”.

„Zostanę. Ale nie do końca. Obiecuję”.

„Czemu cię ścigają?”, zapytał chłopiec.

Kijana zastanowił się. To wszystko trwało już tak długo, że coraz trudniej było mu odpowiedzieć na to pytanie, nawet samemu sobie; pościg i uciezka stały się sensem samym w sobie, a przyczyna, ukryta głęboko, coraz bardziej traciła na znaczeniu. Odparł, starannie, z wysiłkiem dobierając słowa:

„Przeciwstawiłem się im, a oni... nie mogą tego znieść. Dlatego mnie gonią. Chcą, żebym wrócił. I poddał się karze”.

Chłopiec skinął spokojnie głową i wstał. Kijana wyczuł w nim zmianę, zrozumiał, że nic porozumienia się zrywa, że chłopiec nie chce już rozmawiać.

„Zaczekaj”.

Julek szedł w stronę płotu, dla zabawy szurając nogami, zostawiając za sobą smugi ciemniejszego, wilgotnego piasku. Kijaną dobiegły jeszcze cichnące, ale wyraźne słowa:

„Nie bój się. Jestem sprytny. Powiem ci, że nadchodzą, a wtedy odejdziesz, dokąd będziesz chciał, żeby nic się nam nie stało”.

I koniec.

Kiedy zobaczył ich obydwoje przy szopie, całych i zdrowych, i nie wyczuł obecności tamtych, postanowił odejść. Bez czekania. Zdechnąć można wszędzie. Ładne widoki i... ta cała reszta nie są warte ryzyka, na jakie ich narażał. Wiedział, że ich krzywda, ostatnia, jaką by wyrządził na tym świecie, prześladowałaby go przez wieczność, cokolwiek mówił chłopiec.

Otrzeptał spodnie z piasku i wciągnął je wprost na mokre kąpielówki. Na krótką chwilę, kiedy słońce wyjrzało przez dziurę w pędzonych wiatrem chmurach, morze z siniego jak galareta zmieniło się w butelkowo zielone. Wsunął boscie stopy w buty i pomyślał, że tego będzie mu najbardziej brakowało. Czucia. Odczuwania zimna, łagodnej szorstkości piasku nawianego do butów, ciepła ciała kobiety. Ta była samotna i pachniała smutkiem. Tak łatwo mógłby ją uleczyć, choćby na trochę, zmieniając beznadzieję, która ją toczyła, w późniejszy żal i gorycz, kiedy już go nie będzie. Ale to byłyby przynajmniej żywe uczucia, odmienne od smętnej pajęczyny, która zdawała się spowijać Beatę jak kokon. Pchną ją dalej, wyrwą z sieci i zaczną znowu żyć. Mały odprysk żalu i nienawiści, jaki przyłgnałby do niego, łącząc się z innymi, którymi był oblepiony, nie miałby już wtedy żadnego znaczenia.

I stało się tak, jak widać musiało się stać. Miesiąc leniwego, spokojnego życia, sypania do późna i rozkosznej bezmyślności. Miesiąc z kobietą, taką jak Beata, w takim domu jak „Bryza”. Miesiąc uciekania przed samym sobą, spychania myśli i postanowień gdzieś głęboko, wstydliwych, małych oszustw. Cieszenia się życiem. Piękny miesiąc, bez innych ludzi. Kilka razy zadzwonił telefon, listonosz zostawił rachunki w skrzynce na listy. Kijana zaparkował samochód w szopie na tyłach ogrodu; powiedziała, że szkoda takiego ładnego wozu, przecież bez przerwy pada, a szopa stoi pusta. Nie sprzeciwił się. Ludzie i tak zaczną gadać, ale po co ma ich klucz w oczu samochód na obcych rejestracjach, stojący przed domem.

Nie rozmawiali ze sobą wiele, jednak nie byli tym skrepowani. Kiedyś przy śniadaniu, popijając kawę, pokazał palcem mężczyznę na zdjęciu i zapytał:

– To twój mąż?

– Tak – odparła spokojnie, choć było to pierwsze pytanie, dotyczące jej przeszłości, jakie zadał. Ona jak dotąd, o nic nie pytała. – Nie żyje od pięciu lat. – I bez namysłu dodała: – Nie był dobrym człowiekiem. Ani dla mnie, ani dla małego. Chyba w ogóle nie był dobry.

Pokiwał głową, dopił kawę i powiedział, że idzie się przejść. Spytał, czy nie potrzebują czegoś ze sklepu. Gdy odparła, że nie, po prostu włożył kurtkę i wyszedł. Żadnego zaskoczenia, cienia wstydu spowodowanego własną zuchwałością czy fałszywego współczucia po jej szczerym wyznaniu. Po prostu, zdarzyło się. I minęło.

Pewnego dnia poszedł do małej drewnutni, pomachał pół godziny siekierą i bez pytania napalił w kominku w największym pokoju, kiedy Beata poszła z Julkiem na spacer. Po powrocie kobieta nic nie powiedziała, a chłopiec usiadł na dywaniku przed paleniskiem i buzia zaróżowiła mu się od ciepła. W oczach migotały mu isierki.

Kiedy wróciła do pokoju z kolacją, mężczyzna siedział obok chłopca i razem nieruchomo wpatrywali się w płomienie, jednakowo oplatając ramionami podciągnięte pod brodę kolana. Postawiła ostrożnie talerz kanapek na stole i usiadła na sofie, patrząc na nich i nie mając siły nic powiedzieć. I nagle poczuła, że dobrze jest, tak jak jest. Nieważne, co będzie jutro.

Przez ten czas Kijana nie rozmawiał z Julkiem. Chłopiec z plaży nie pojawił się już więcej. Chudy dzieciak chodził za Kijaną krok w krok, ale w uszach mężczyzny ani razu nie zabrzmiał brzękliwy, cichy głos, który wcześniej obiecał go ostrzec. Zrobił Julkowi latawiec, przepaszając w duchu tamtego chłopca, poznanego dawno, dawno temu. Puszczali go na plaży, aż kiedyś wiatr porwał go i zaniósł nad morze, coraz dalej i wyżej, aż zniknął im z oczu. Znaleźli wyrzuconą przez fale meduzę. Zgrabiętymi rękami ulepili zamek z dwoma wieżami i sklepioną, otwartą bramą, a potem, chuchając w zziębnięte dłonie, patrzyli, jak woda powoli zamienia go w obły pagórek piasku.

Kijana wymienił kilka spróchniałych desek na werandzie, oskrobał resztki starej farby i pomalował ją na nowo. Niby to niewiele, ale budynek jakby odżył. Nieśmiałe protesty Beaty zbył oświadczeniem, że taka praca to czysta przyjemność i relaks, i jeśli pozwoli, to poprawi jeszcze to i owo. Machnęła ręką z udaną rezygnacją i powiedziała, żeby robił co chce, byle tylko dom się od tego nie zawalił.

Kiedy wreszcie nadeszła ta noc, ocknął się, pewien, że słyszy za oknami łopot skrzydeł. W nogach łóżka stał chłopiec i patrzył na nich.

„Chodź”.

Widząc panikę w oczach mężczyzny, dodał:

„Zdążysz. Chodź ze mną”.

Kijana ubrał się po cichu, żeby nie obudzić Beaty, i wyszli z domu. Było bardzo zimno, szron na trawie skrzył się jak potłuczone szkło. Panowała wszechobecna cisza, cały świat jakby zamarł w oczekiwaniu na zimę, która była tuż, tuż.

„Skąd wiesz? Ja niczego nie poczułem. Nie było nawet wron”.

Chłopiec ścisnął mocniej dłoń Kijany i przyspieszył kroku. Szli w stronę szopy, majaczącej w mroku.

„Musisz już jechać”.

Mężczyzna nagle się zatrzymał, aż chłopiec, ciągle ściskający jego rękę, zatoczył się i prawie upadł.

„Moje rzeczy. Muszę wrócić po torbę”.

Julek spojrzał na niego i w głowie Kijany rozległ się jego krzyk, teraz już pełen przerażenia:

„Nie!!! Jedź natychmiast. Wziąłem kluczyki do auta, musisz jechać już teraz!!!”

Kucnął przed chłopcem i ujął jego buzię w dłonie.

„Co się stało? Czy jest już za późno? A co z tobą? Co z Beatą, co z mamą?”

Po policzku małego popłynęła łza.

„Pamiętasz... pamiętasz, jak ci mówiłem, że jestem sprytny?”

Skinął głową, czując lodowate palce pewności pełnące w górę kręgosłupa.

„Wypatrywałem ich, czy nie idą, ale...”

Kijana wstał i puścił Julka. Odwrócił się w stronę szopy. Ze zbiornika na wodę na jego oczach zaczął sączyć się niebieskawy blask. Spojrzał na chłopca, czując ból, jakiego jeszcze nigdy nie było mu dane doświadczyć.

„...ale zobaczyli mnie. Chyba zawsze mnie widzieli i tylko udawali... Chciałem żebyś został jak najdłużej i...”

Płaczliwy głos pod czaszką Kijany przeszedł w pisk i urwał się. Chłopiec zeszywniał, wyprężył się jak rażony prądem, a jego oczy rozbłysły w mroku niczym dwa ogniki zapalniczek.

Znad cembrowiny wychyłała masywna sylwetka, strzelając na wszystkie strony odłamkami lodu, pokryta martwym zielskiem i rzęsą, jak zieloną łuską. Kijana odwrócił się i rzucił do ucieczki, ale chłopiec skoczył mu do nóg, obejmując go za kolana i powalając na ziemię. Szamotał się, rozpaczliwie starając się uwolnić

z uścisku chudych i nadspodziewanie silnych rąk, jednocześnie nie spuszczać wzroku ze zbiornika, z którego wyłaniał się koszmar prześladowający go od lat.

Bestia oparła ramiona o betonową krawędź, mrugnęła, jakby wyostrzając wzrok, i skoncentrowała spojrzenie na leżącym mężczyźnie.

– Kee-an-Nah....

Jęk zgrozy wyrwał się z gardła mężczyzny. Nie myśląc co robi, zaczął okładać dziecko pięściami i bezskutecznie szarpać drobne ramiona. Włókł chłopca za sobą, pełznąć po ziemi, byle dalej od...

– Chodź, maluchu. Chodź szybciotko, bo mamy dużo do obgadania...

Jak pływak wychodzący z basenu, bestia podciągnęła się na rękach i przerzuciła jedną nogę na drugą stronę zbiornika. Woda parowała na mrozie, spowijając potwora sinym całunem.

Teraz już krzyczał. Bezrozumny, nieartykułowany wrzask tłumionej przez wiele lat grozy i rozczarowania darł mu gardło, odbijał się od drzew, z których mimo nocy poderwały się wrony, dziesiątki czarnych ptaków, kraczących i zataczających stadami ciasne kręgi, gdzieś wysoko ponad nimi.

Kiedy już wyłowili ciało i odholowali samochód, weszli do wynajmowanego pokoju i zgodzili się łaskawie, by Beata poszła z nimi. Jeden z policjantów, najmłodszy, bezceremonialnie wytrząsnął zawartość sportowej torby na łóżko. Trochę ciuchów, bielizny, kalendarzyk, który zaraz zabrali, grzałka do wody, zawinięta w zapasowy ręcznik. Aluminiowy niezbędny z łyżką i widelcem, scyzoryk dobrej firmy.

– Harcerz. – Ten młody z nierównymi baczkami zaśmiał się niepewnie, ale zaraz umilkł i dalej przeglądał rzeczy.

Hotelowe zapałki, z miasta o pół Polski stąd. Bilet kolejowy sprzed dwóch lat, z zanotowanym numerem telefonu, który potem, po sprawdzeniu, okazał się pizzerią w Chorzowie.

Książka w języku, który później zidentyfikowali jako portugalski. Szare pióro gołębia. I wieczne pióro sprzed wojny, warte kilkanaście tysięcy złotych. Nalepka na zderzak z żółtą buźką. Zgięty na pół kapsel po heinekenie. Pożółkła polaroidowa fotografia kobiety z małą dziewczynką, w tle płynący statek spacerowy, na dziobie nazwa – „Corason II”.

Mnóstwo drobiazgów, różnych śmieci, jakie nieraz poniewierają się zapomniane na dnie szuflady.

Zgarnęli to wszystko do worka, na wierzch wrzucili pustą torbę, pokręcili się trochę, bardziej dla pozoru niż w jakimś konkretnym celu, popijając kawę, którą zaparzyła im Beata.

Najstarszy z policjantów, z równiutko przystrzyżonymi wąsami i lekką nadwagą, wysłuchiwał potem w kuchni cierpliwie jej chaotycznych zeznań, przerywanych chwilami ciszy i zaciąganiem się kolejnymi papierosami. Tylko kiedy opowiadała, jak nie mogła znaleźć Julka, tamtego ranka, wieki temu, glina prychnęła i wzruszyła ramionami, ale natychmiast przywołał się do porządku.

– Wtedy pewnie próbował po raz pierwszy. Trzeba było od razu nas zawiadomić, przyjechalibyśmy z interwencją i byłoby po sprawie. – Zaraz jednak mruknął coś przeprasząco i podał kobiecie ogień, prosząc, by dalej mówiła.

I Beata opowiadała, słysząc swój głos, jakby to ktoś obcy mówił w sąsiednim pokoju. Nie powiedziała oczywiście wszystkiego, bo i po co, skoro widziała w ich oczach, że i tak domyślają się reszty. Kiedy już nie miała nic więcej do dodania i siedziała cicho wpatrzona, jak papieros między jej palcami zamienia się w słupek popiołu, ten starszy odezwał się, wzdychając i poprawiając pas na brzuchu.

– Pani Domińczak, będę z panią szczerzy. Niech mnie cholera, jeśli wiem, co się tam stało. Ale Bogu powinna pani dziękować, że synek jest cały. Lekarz mówi, że to tylko siniaki i otarcia, nic więcej mu się nie stało. Zagoi się raz dwa. – Zobaczył, że kobieta znowu kurczy się na krześle, a jej twarz wykrzywia się od tłumionego szlochu, i poczuł litość. – Wiem, co mówię, sam mam dwójkę. Rozrabiają, jak cholera, wiecznie poobdzierane, ale na dzieciaku goi się jak na kocie.

Przytaknęła. Przytakiwałaby wszystkiemu, byleby już sobie poszli, byle zostawili ją wreszcie samą z synem. Żeby mogli sobie usiąść w spokoju i patrzeć na pierwszy śnieg w tym roku.

– Ten Bondera – kontynuował policjant – to też dziwna sprawa. Samotny, zaginięcie zgłosiła dwa lata temu siostra. Po tym, jak nie przyjechał na święta. Ale mieszkanie sprzedał cztery miesiące wcześniej, sprawdziliśmy, i zniknął. Zgłosiła i już się dalej sprawą nie interesowała. Takie teraz ludzie mają ze sobą kontakty. Rodzina, nie ma co...

Znowu musiał się przywołać do porządku i dodał służbowym tonem:

– Nie notowany. Ale to jeszcze nic nie znaczy, wie pani... Samotny, dorosły i zdrowy... – Chrząknął. – Może jeszcze coś wyjdzie. Poinformujemy panią.

Spojrzał na Beatę. Płakała, lecz po cichu. Siedziała nieruchomo, a łzy płynęły jej po policzkach jedna za drugą. Serce mu się ścisnęło z żalu; dużo, dużo tego świństwa, jak na tę kobietę. Bywał już w „Bryzie”, pamiętał jej męża; przypomniał sobie: ostatni raz podjeżdżali pod pensjonat pięć miesięcy przed jego wypadkiem. On nachlany, czepiający się futryny drzwi wejściowych, próbujący wyjaśnić im, że wszystko jest w porządku. A w środku ona, nieprzytomna, z głową opartą na kuchennym stole, obok pustego talerza, upstrzonego kropelkami krwi. Chłopiec siedział zapłakany w łazience, w wannie pełnej zimnej wody, i dalej bawił się zieloną plastikową rybką. Laskowski, wówczas dopiero dwa miesiące w służbie, chciał skuć mordę mężusiowi. Przywykniesz, powiedział wtedy młodemu i nie pozwolił. Przywykniesz. On przywykł.

Łaska boska dla tej kobiety, można by powiedzieć, że się wreszcie skurwiel utopił. Zabić by takiego po pięciu minutach, a co dopiero całe życie z nim marnować...

Ściągnął służbową czapkę i przeczesał włosy. Było mu gorąco.

Co w głowie, to nie wiadomo, co dziecku zostanie, ale mały zawsze był...

– Zdał sobie sprawę, że się zagalopował, i nie wiedział za bardzo, jak wybrnąć. – Był...

Pokiwała spuszczoną głową, więc ciągnął dalej.

– Miłość matki, wie pani... No i spokój... Tak, spokój zrobi swoje. Dobrze, że nie doszło do najgorszego, nie? Szczęście, pani Domińczak, dużo szczęścia. I niech się pani nie martwi o to, że tak na lewo pani wynajęła pokój, to się jakoś załatwi. Wiadomo, jakie są czasy, a my też jesteśmy ludźmi, no nie?

Pogłaskał delikatnie posiniaczony policzek chłopca, siedzącego nieruchomo po turecku na podłodze i wpatzonego w jego błyszczącą odznakę. Oślinioną rękę wytarł w spodnie dopiero, kiedy się pożegnał

i szli do radiowozów po skrzypiącym pod butami śniegu. Pierwszym tej zimy, który nad ranem pokrył wszystko białym, cieniutkim całunem.

Patrzyła przez okno w kuchni, jak odjeżdżają, zostawiając czarne ślady opon na drodze do bramy. Papieros z oderwanym filtrem dopalił się do końca i zgasł z cichym sykiem między jej palcami. Z zaciekawieniem podniosła rękę do twarzy i powąchała czerwony ślad oparzenia. Zaciśnęła i rozprostowała palce. Pokręciła głową, aż coś chrupnęło w karku. Chłopiec wstał i ciągle oszołomiony zrobił kilka niezdarnych kroków w stronę schodów.

– Idziesz już spać? Tak wcześnie?

Drgnął, ale nie obejrzał się na dźwięk jej głosu, wdrapując się na górę.

Podobno nigdy nie odpowiadał, no tak. To się musi zmienić. Przecież tyle jeszcze długich, zimowych wieczorów przed nimi. Stanęła na dole i krzyknęła w ślad za nim:

– Kee-an-Nah!

Lekkie, powolne kroki umilkły, już na piętrze.

– Nie uciekaj.

Beata uśmiechnęła się; oparzona ręka nie bolała jej ani trochę.

– Pozwól, że ci coś opowiem, kiedy będziesz już w łóżeczku. Na pewno polubisz tę historyjkę.

Wokół niej „Bryza” trzeszczała i skrzypiała, jakby nowe życie wypełniało jej wyschnięte ściany.

– Może... może o miłej pani i jej synku, których tak lubiłeś? Tak tylko na początek? Chyba niezbyt podoba im się tam, gdzie są... – Dodała, rozkoszując się pełną bólu ciszą.

O szybę uderzył pierwszy czarny ptak.

– Mamy jeszcze wiele historii do opowiedzenia, zanim skończy się zima – szepnęła, wchodząc powoli na piętro.

A serce Kijany szerniało i wyschło; do wiosny zmieniło się w coś, czego nawet wrony nie chciały dziobać.